

# Komu grozi wielkie wymieranie?

*...psychologa mniemania na głębokie pytania...*

Podobno nie ma co do tego żadnych wątpliwości: żyjemy w czasach wielkiego wymierania gatunków, szóstego w historii Ziemi.

Nie istnieje już 99% gatunków, które kiedykolwiek żyły na tej planecie. Oznacza to, że wymieranie jest czymś naturalnym w historii Ziemi i tak jak zwykłą rzeczą kolejną jest pojawianie się gatunków nowych, tak też normalną sprawą jest wypadanie dotychczasowych z ewolucyjnej gry. A jednak ten proces ma swoją dynamikę. W ciągu kilku miliardów lat, pięć razy życie załamywało się niemal zupełnie i właśnie te zdarzenia nazywamy katastrofami. Oczywiście później odradzało się w jeszcze bogatszej i bardziej zróżnicowanej formie, jednak to odrodzenie poprzedzone było właśnie dramatem.



Fot. Piotr Morawski

Dzisiaj przeżywamy ten scenariusz po raz kolejny. Na naszych oczach życie znika w zastraszającym tempie. Jak szacują naukowcy, przebiega ono od kilkuset do nawet kilku tysięcy razy (!) szybciej niż w okresach stabilizacji. Co takiego się stało? Czy dostaliśmy kopniaka z kosmosu, czy zmieniły się bieguny Ziemi, a może jakiś ogromny wulkan wypluł tyle dymu, że zmienił się klimat? Nie, wiemy już z całą pewnością, że za tą agonią stoimy my, ludzie. Jest nas za dużo i żyjemy w sposób skrajnie nie zrównoważony, co odbija się na kondycji całej biosfery.

Ale wielu z nas wzrusza ramionami. I cóż z tego, że gatunki wymierają? Jakże to ma znaczenie dla nas? Tak naprawdę prawie nikt się tym nie przejmuje. No, może oprócz garstki nawiedzonych ekologów, którzy próbują przekonywać, że z tego powodu tracimy potencjalne lekarstwa na nieuleczalne jeszcze choroby, że świadczenia ekosystemu są najważniejszym warunkiem dobrobytu ludzkości, że w sposób niesprawiedliwy ograniczamy szanse przyszłym pokoleniom. Z pewnością w tych wszystkich argumentach jest sporo prawdy. Ale z jakiegoś powodu ludzie nie chcą ich słuchać. Większość z nas żyje w przekonaniu, że człowieczy świat istnieje poza tym wspólnym, planetarnym systemem życia, że ostatecznie jak będzie już źle, to damy sobie radę, bo naukowcy coś wymyślą.

Tak, szósta katastrofa w historii Ziemi, której przyczyną jesteśmy my, to najdobitniejszy dowód, że straciliśmy w naszych umysłach świadomość połączenia z planetarnym cudem życia i zatraciliśmy się w iluzji oddzielenia. No bo co z tego, że nie będzie wilka, puszczyka uralskiego czy jakiegoś niewielkiego owada, który nie ma jeszcze swojej nazwy? Nie ma to dla nas znaczenia, bo w istocie w naszym życiu nic się nie zmienia. Z jednej strony mamy ludzi i ich świat, a z drugiej - przyrodę. Uwierzaliśmy, że te rzeczywistości są rozdzielone i że potrafimy istnieć bez dzikich mateczników, oceanów, raf koralowych i wilków.

Co się jednak stanie, gdy uznamy, że istnieje tylko jeden, niepodzielny świat, którego jesteśmy częścią? To, co wyłania się z takiego założenia, nie jest wcale ani łatwe, ani przyjemne. Kto bowiem wymiera? Czy wymierają jakieś tam gatunki? Jeżeli wnikiemy głęboko w tę kwestię, zobaczymy naszą własną agonię. Tak, z każdym gatunkiem, który wypada z ewolucyjnej gry, tracimy jakąś część siebie. Każda śmierć jest kolejnym ciosem, który wymierzamy sobie sami. I jakkolwiek śmierć jest wpisana w proces życia, to wypadki ostatnich kilkuset lat niezmiennie dowodzą, że rozgrywa się jakaś hekatomba, w której jesteśmy jednocześnie sprawcami i ofiarami.

Szósta, planetarna katastrofa, jest ostatecznie naszą własną katastrofą; wymieranie gatunków to nasza własna śmierć. I nie jest to żadna ideologia ani nawiedzona wizja, tylko podstawowy wniosek z obserwacji procesu ewolucyjnego.

I nie miejmy złudzeń, że coś da się zrobić, by zatrzymać ten proces.

Ale mylicie się, jeśli myślicie, że jestem pesymistą. Jakość umierania jest tak samo ważna jak jakość życia. To, jak umieramy, ostatecznie jest lustrzanym odbiciem tego, jak żyliśmy, ale też umieranie może w sposób radykalny odmienić nasze życie i uczynić je pełniejszym.

Doświadczenie osób, które zapadły na nieuleczalne choroby, pokazuje, że po jakimś czasie od wysłuchania dramatycznej diagnozy część z nich zaczyna żyć zupełnie inaczej. Mając świadomość ciężącego na nich wyroku, pozwalają sobie na doświadczanie każdej chwili tak, jakby była ona cudownym darem, zaczynają dbać o to, co i jak jedzą, rezygnują z używek, zbliżają się do ludzi i Boga. Wielu z nich odkrywa, iż świadomość choroby i nieuniknionej śmierci była dla błogosławieństwem, które odmieniło ich życie i sprawiło, że przebudzili się z letargu. To paradoks, ale jakość życia może znacznie wzrosnąć, gdy człowiek patrzy w oczy śmierci.

Bo ostatecznie nie chodzi o to, żeby żyć byle jak, lecz o to, żeby żyć w pełni. To, że tego nie potrafimy, póki co prowadzi do wielu katastrofalnych skutków, w tym też i tego o wymiarze planetarnym. I poniekąd to całe wymieranie jest odpowiedzią Ziemi na naszą ignorancję, jest zaproszeniem nas do ponownego wejścia w krąg życia, stania się pełną istotą, świadomą pokrewieństwa z całym cudem życia, z cudem własnej egzystencji. Szósta katastrofa jest dla nas szansą na przebudzenie się, nawet jeśli dokona się ten dramat do samego końca. Bo ostatecznie nie o koniec tutaj idzie, ale o każdą kolejną chwilę, którą przeżywa się świadomie i uważnie. Ciągłe mamy jeszcze na to szansę i ciągle tę szansę prowokujemy. W pewnym sensie to my sami ją sobie dajemy. Wydaje się, że ten całościowy proces jest niezwykle mądry i daje nam to, czego najbardziej potrzebujemy. Czy jednak będziemy potrafili z tej szansy skorzystać? Ile jeszcze musi wycierpieć życie, ile jeszcze musimy wycierpieć my sami, byśmy usłyszeli, co do siebie mówimy, co mówi nasze większe JA?

Nawet jeśli nie da się zatrzymać wymierania gatunków, nawet jeśli sami w końcu umrzemy, warto żyć pięknie. Warto ze spokojnym i uważnym umysłem doświadczać w pełni tego, co jest. Świadomość śmierci jest naszą szansą na przebudzenie się za życia.

Ryszard Kulik

Instytut Psychologii Uniwersytetu Śląskiego